

ze wpływasz na nią w tym kierunku... Stanowczo, panno Józiu, musi pani działać sama... Trochę więcej odwagi i trochę więcej szczerości!... W takich razach nie można wyręczać się nikim...

— Kiedy ja się boję!... Ale, niech co chce się dzieje, ja za Stobińskiego nie pójdę!... — zawołała Józia, gwałtownym ruchem ręki rzucając serwetkę na stół.

— I to właśnie napiszesz ojcu — zdecydowała Anielka — tylko w odpowiedni sposób... Zaraz jutro napiszesz list, ale nie taki hardy, krnąbrny, jak ty to czasem umiesz, lecz serdeczny, dobry, pokorny!... Pokorny, rozumiesz, Józiu?... Poprosisz, wytłumaczysz...

— Napiszę, ale wiem, że nie na wiele to się zda... — machnęła ręką ze zniechęceniem Józia.

ROZDZIAŁ XI.

— Panno Heli, czy pani już po obiedzie? — wołał Ludwik Rażycki, pukając do drzwi mieszkania panny Lidzińskiej.

— Ależ proszę, niech pan wejdzie!... Naturalnie, że już zjadłam obiad, który był zresztą również krótki i nieskomplikowany, jak szczupłymi są moje wiadomości kulnarno-gospodarskie... — śmiała się niefrasobliwie Hela — Proszę, niech pan siada...

— Ani myślę siadać i nie chcę, żeby pani siedziała!... Zamierzam porwać panią na spacer... Chyba, że pani chce się przedrzeć po obiedzie?

— O! Co to, to nie... Nigdy we dnie nie syjam... „Nie czas, nie czas na sen tobie, ty się jeszcze prześpisz w grobie“ — zadeklamowała Hela z zabawnym patosem.

— Zatem idziemy?

— Idziemy na grzyby...

— O! Oj, panno Heli, czy pani zamierza popełnić samobójstwo, czy zbrodnię?

— Przepraszam, proszę mi nie uragać... Ja się znam na grzybach... O! czasu, kiedy jestem na wsi, studiowałam pilnie tę gałąź botaniki... Po pierwsze, grzyby bardzo lubię, a powtóre to bardzo tania potrawa, a taka rzecz w wojennym budżecie gilijskiej nauczycielki nie jest do pogardzenia...

Rozesmiali się oboje bez wyraźnej przyczyny, ot! tak, jak śmieje się młodość, której dobrze i wesoło... Bo w tej chwili było im bardzo dobrze i wesoło...

Hela włożyła szeroką, białą „basterkę“, opasaną czarną aksamitką, zawiesiła na ręce koszyczek na grzyby i rzekła:

— No, jestem gotowa. Chodźmy!

— Jakże poszły lekcje? — zapytał Ludwik, kiedy wszli przed dom.

— O! Wcale nie najgorzej! Lepiej, niż się spodziewałam... Moje dzieciaki wcale nie takie straszne... Co prawda, gapiątek nie brak pomiędzy nimi, ale są także zabawne i miłutkie... Kilkoro przyszło haniebnie umorusanych i musiałam je energicznie szorować, a wszystkim prawie trzeba było tłumaczyć użytek chusteczki do nosa...

Ludwik spoglądał na nią z podziwem i zachwytem. Jak ona mówi o tem wszystkim swobodnie i wesoło... A jednak chyba nie tak łatwo było jej przywyknąć do nowych warunków życia do rozmaitych braków i niewygód.

Dzielna, odważna dziewczyna!...

Słone żółtą falą oblewało twarz Heli, jakby chcąc uwydatnić, wyzłocić, ożywić jej oryginalną urodę.

Smagławe, blade przedtem policzki dziewczyny nabrały na wsi zdrowszej cery, usta zaróżowiły się silniej, czarne oczy błyszczały jak dyamenty.

— Ależ wieś służy pani. — rzekł nagle Ludwik — Jak pani wypiękniała!...

— Proszę mnie tylko nie karmić pochlebstwami, bo się pogniewamy!... Nie znoszę, nie cierpię komplementów!...

— Przedewszystkiem, to nie żaden komplement, tylko szczerą prawdą... Ale w to, żeby pani miała nie lubić komplementów, nie wierzę!... Każda kobieta lubi słuchać o tem, że jest piękna i że podobna się...

— Dobrze ma pan wyobrażenie o kobietach!

— Jak najlepsze!... Kobieta pragnie się podobać, to jest naturalne i wrodzone... Można to zaobserwować zarówno u pięcioletniej dziewczynki, jak u zgrzybiałej staruszki, tak u analfabety, jak u najścisłej matematyki, czy filozofii... Kobieta, która nie chce się podobać, o ile wogóle taka istnieje, to już musi być specjalny dziwoląg...

— Nie pleść głupstw, tylko patrzeć przed siebie i podziwiać!... Jak tu cudnie! Teraz dopiero rozumiem, dlaczego się mówi: piękna, polska jesień...

Dzień był pogodny, słoneczny, ale trochę wietrzny. Za każdym podmuchem wiatru od drzew odrywały

się i leciały liście, migocąc różnorodnymi barwami; jasno-żółte, krwawo czerwone, rdzawe, ciemno-żółte.

Drzewa w sadach ugięły się pod ciężarem owoców: złocisto zielonych renet, rumianych „jesionek“, żółtawych gruszek i fioletowych śliw.

Od poczerwiałych szorstkich ściernisk odcinały jaskrawo ciemno-zielone pola ziemniaczane i modre zagony kapusty.

Krajobraz przetkany był złotem i purpurą, mienił się całą gamą barw i odcieni, błyszczał niemi, wdzięczył się jak piękna, dojrzała kobieta, która blaskiem błyszczących podnosi swoją urodę.

— Cudnie, cudnie... — szeptała Hela.

— Cudnie... — powtórzył za nią Ludwik.

Nierówną, spadziwą ścieżką zeszli z górki na gościniec, chcąc go przeciąć i polami iść aż hen, pod las.

Na drodze dął się słyszeć turkot kół.

— Oho! Jedzie ktoś dorożką! — zawołała Hela —

W Zalesinkach to fakt niezwykły, bo tutaj oprócz wozów chłopskich, powozów dworskich i bryczki księdza proboszcza innych pojazdów nie widuje się...

— Co ja widzę?! To pan Stobiński!... — wykrzyknął zdumiony Ludwik — No! No!...

Istotnie, to pan Stobiński jechał tą rozklekotaną, odrapaną dorożką małomiasteczkową.

Dychawiczny koń, któremu przez skórę żebra można było policzyć, musiał jednak rażo wyciągać nogi, bo, wżulca, rudy żydek z pejsami, ostro podcinał go batem. Pasażer bowiem obiecał suity napiwek, jeżeli go jak najprędzej zawiezie do zalesińskiego dworu.

Kiedy Maliniewicz powiadomił Stobińskiego o treści listu Józi, niefortunny konkurent zdecydował się na śmiały krok. Postanowił nieproszony, bez uprzedniego zawiadomienia przyjechać do Zalesinek, rozmówić się z Józią, nakłonić ją do przyjęcia jego ręki i jeżeli się da, zabrać narzeczoną od razu do Krakowa.

Radca Maliniewicz, który teraz zupełnie czem innym niż przeszłością swojej niesfornej córki miał zaprzatniętą głowę, powiedział mu na odjeździe:

— Rob pan, co chcesz, radź sobie, jak umiesz z tą dziką kózą, kiedy ci się jej zachciało... To już pańska rzecz, żebyś ją umiał przejechać czy przekonać... Ją swoją powagą ojcowską poprę pana i w stosownej chwili potrafię wywrzeć nacisk!... Józia musi słuchać!... Powiedz jej pan to!

— Więc pan radca słowa nie cofa? — zapytał Stobiński z bijącym silnie sercem.

— Ależ nie! Bierz ją pan sobie!... Tylko się spiesz, bo ci ją gotów kto inny s rzętnąć!... Trzeba jej przyznać, że dziewczyna jak malowanie, no i szczęście ma... Po mnie to odziedziczyła.

Radca z zadowoleniem poglądził siwiejący już ale starannie po angielsku przystrzyżyny wąs nad kształtnymi ustami i dodał:

— A jak pan będziesz w Zalesinkach, pozdrów jak najserdeczniej panią Walczakową... To cukierk kobieta, a co za główka! H! H! Nie od parady... Radzę panu postarać się o jej względy, bo ona na Józkę ma wpływ ogromny...

Stobiński, przerażony myślą, że piękna dziewczyna której pożądał z jakąś dziką drapieżnością, którą pragnął zdobyć z wolą jej lub pomimo jej woli, może mu się z rąk wyslizgnąć, postanowił nie zwlekać.

Bez długich namysłów snąkował podróżną torebkę, kupił bilet i pojechał. Jechał uzbrojony w zapas silnych, jak mu się zdawało, argumentów i w silniejsze jeszcze postanowienie.

Tak samo, jak Michnik, powtarzał sobie z uporem:

— O! ona musi, musi być moja...

Dotychczas dochodził zawsze do zamierzonego celu drogą taką lub inną, gdzie nie mógł przeskoczyć, tam podłaził bardzo zręcznie, ale w końcu postawił zawsze na swoim.

A teraz miałoby mu się nie udać?! Ngdy!... Trudniej-że już rzeczy przewyciężał, niż kaprys ośmnastoletniej dziewczyny.

Stobiński był synem praczki z przedmieścia, którą ogarnęła nieprzeparta ambicja, aby swego jedynaka koniecznie wykirować na „pana“...

Olla! go więc do gimnazjum, chociaż chłopiec nie zdradzał ani większych zdolności, ani zamiłowania do nauki. Jednakowoż do gimnazjum chodził chętnie, bo uważał je za środek do wyzwolenia się z wilgotnej izby matczynej, pełnej zaduchu mydlin i brudnej bielizny.

Uczył się słabo, ale z klasy do klasy przechodził, bo umiał zawsze tak prosić, błagać, przychlebiać się, w razie potrzeby wylewać łzy i całować po rękach, „że dla świętego spokoju dawano mu pierwszą“...

Jeżeli jednak któryś z profesorów był nadto uparty i obstawał przy swoim, że „ten Stobiński,

to tępy mózg“, wówczas zjawiała się matka i takim wizyskiem i lamentem napełniała kancelaryę gimnazjalną, że aby się jej pozbyć trzeba było ustąpić.

Pochlebstwem też i płaszczeniem umiał młody Stobiński wyjednać dla siebie stypendya i zapomogi, często ze szkodą z tolniejszych, a biedniejszych.

Pośród kolegów nie cieszył się sympatya i zdala trzymał się od współzycia koleżeńkiego.

Przezywano go „lizusem“ i „matolkiem“.

Drwili z niego elegancy paniczycy o wykwintnych manierach, poniewierali nim nieraz silni, zdrowiem tryskający synowie chłopcy, lekceważyli go wszyscy koledzy inteligentniejsi, o umysłach wcześniej rozbudzonych.

A on odpłacał im to lekceważenie z nawiązką, jeżeli się dało.

Ale najczęściej kurczył się w sobie i nienawiść swoją przyoblekał w formy obłudnej, nadszkapującej grzeczności.

Młodość jego nie znała wzlotów nad poziomym! Jak glista pełzał przy ziemi i wcześniej uczył się chytrąści, podstępów, obłudy.

Kiedy nareszcie zdał maturę, obrał sobie na uniwersytecie wdział klasycznej filologii. Bezmyślne kucie słów i form gramatycznych greckich i łacińskich najwięcej odpowiadało jego usposobieniu. W gimnazjum dostał nawet raz z łaciny „dobrze“ i od tego czasu uważał się za tegoż łacinnika. Przez uniwersytet podobnie jak przez gimnazjum przeszedł, zginając kark przed tymi, którzy o losie jego rozstrzygać mieli.

Dopiero, gdy dzięki usilnym staraniom dostał posadę nauczycielską w Krakowie, odetchnął i wyprostował się... Nareszcie zdobył cel swych marzeń, wygodne stanowisko urzędnika, który może obowiązek swój spełniać ściśle według przepisów i musi automatycznie awansować. Bo zawód nauczycielski dla Stobińskiego nie był niczem innym, jak tylko pewną kategorią stanu urzędniczego. O roli pedagoga, kierownika młodzieży, nie myślał wcale.

Pan Stobiński, otrzymawszy stałą posadę, doszedł do wniosku, że dobrze byłoby ożenić się. I ożenek też jednak odwlekał się, bo Stobiński miał wymagania duże, a szczęścia do kobiet nie miał stanowczo. Jeszcze za czasów gimnazjalnych, jeżeli kiedy zaczepił na ulicy jakiegoś podlotka, to panienka albo odwracała się i z najwyższym oburzeniem mówiła: „I taki jeszcze chce zaczepiać?!“ albo też zmierzyla go tak pogardliwym spojrzeniem, że uciekał od razu...

Pewnego razu Stobiński miał jakiś interes do radcy Maliniewicza i poszedł do niego do domu. Wtedy poznał Józkę, która dopiero co wróciła z Pragi.

Poznał i zakochał się w niej po swojemu... Uroda młodzieńczej dziewczyny i jej wdęk drażniący rozpętały w nim głodne zmysły, rozpały namętne pragnienie, wzbudziły silną, niezłomną wolę, by tę uroczą kapryśną posiąść na własność! Stobiński kochał się w Józi, ale niemniej rozumował, że tak piękna żona może wzmocnić jego towarzyskie stanowisko, a nawet ułatwić karierę.

Nie zdradził się jednak od razu ze swem pragnieniem, nie zaczął nawet nadszkapiać Józi, tylko uporczywie szukał towarzystwa jej ojca.

Był brzydki i niemily, nie łudził się wzajemnością Józi i wiedział, że zdobyć może tę dziewczynę tylko idąc drogami bocznymi, a chyłkiem. Szybko przeirzał Maliniewicza, ocenił jego egoizm, sybarytyzm, oschłość serca i na tych strunach postanowił zagrać.

Otoczył radcę siecią swoich starań dość długo czekał cierpliwie, a kiedy nadeszła stosowna chwila, oświadczył się...

Odrzuć powiedział, że nie tylko nie żąda żadnego posaru, ale gotów nawet jest rzec się wyprawę...

Maliniewicz, któremu ze względu na własne projekty matrymonialne zależało bardzo na tem, by się pozbyć z domu dorosłej córki, obiecał mu rękę Józi.

Ale Józia napisała do ojca list, w którym błagała go, aby jej nie zmuszał do małżeństwa z panem Stobińskim, bo ona do niego czuje antypatyę...

Antwoatyę!... Stobiński zgrzytnął zębami...

— Poczekaj, ty mała, ty cudna!... Będiesz moją żoną, a wtedy pogadamy o antypatyi... I palce Stobińskiego zakrzywiły się drapieżnie, niby szpony krocnleze.

Nech tylko zdobędzie Józię, a będzie już umiał nagiąć ją do swojej woli!...

Od czasu, kiedy Ludwik Rażycki wyjechał do Zalesinek, Stobiński dęczył się nieustannie zazdrośną myślą, że przystojny, elegancki młodzieniec o ustalonej opinii „zjadacza serc niewieścich“, jest przy Józi i bałamuci ją.

(Ciąg dalszy nastąpi.)